

Tygodnik

3 Października. — 40. — 1818

Jak Publiczność nauczać niech się mędrzec sili,
My Rodaków rozerwać chcemy w nudów chwili.

POCZĄTEK PIÉRWSZÉJ KSIĘGI
PRZEMIAN OWIDJUSZA.

Będę opiewał ciała w nowej ich przemianie,
Wasze to dzieło, wy mnie natchnijcie Niebianie,
Wy od kolébki świata, przez słabe me usta,
Rym trwały doprowadźcie do czasów Augusta.

Nim było morze, ziemia, i niebios sklepienie,
Jeden obraz dawało całe przyrodzenie,
Był to Chaos, była to przestrzeń niezmierzona,
W niej żywiołów przeciwnych zmięszane nasiona
Składały martwe brzemię, i niekształtny nawał.
Jeszcze promień Tytana światła nam uie dawał,
Jeszcze nieznane były księżyca odmiany,
Jeszcze krąg ziemski w koło pcwietrzem oblany,
Nie ważył się ciężarem; jeszcze wody swemi
Nie rostoczył się Neptun koło krańców ziemi.
Ziemia, morze, powietrze, w jedno zbite ciało,
W ciągłej z sobą sprzeczności, nie pewny kształt miało.
Ciemne było powietrze, nieprzepłynne morze,
I ziemia bez tęgości; w różnych części zbiorze,
Ciepło z gorącem, suchość z wilgocią walczyła,
Miękką przygniotła twarda, lékką ciężka bryła.

Ten spór ukończa Boga i natury władza;
Niebo od ziemi, ziemię od wody odgradza,
Wraz od powietrza światłość odziela się lżejsza,
Zamęt z wolna ustaje, ciemność się umniejsza.
Trwałym mirem żywioły spaja stwórca świata,
Najlżejszy ogień z niebios sklepieniem ulata,
I wybiera siedlisko na najwyższej sferze,
Lekkie powietrze drugie miejsce po nim bierze,
A ogromem swej wagi ziemia przyciśniona,
Ściąga cięższe żywioły do swojego łona,
Oblewa ją płyn dolne zajmujący łoże.

Gdy tak Stwórca, (kto kolwiek z Bogów nim
być może)
Urządził, i na części podzielił to brzemię,
Na sam przód w postać kuli zaokrąglił ziemię,
Kazał rozlać się morzu, wiatrom wzdymać wały,
I okręgu ziemskiego otoczyć brzeg cały.
Stawy, jeziora, wodą napełnił obfitą,
Dał zdroje, rzece krzywe określił koryto,
I rosproszył ją, ziemskie użyzniając łono.
Często ją spostrzegamy w przepaściach połkniono,
Częściej jak prędkim biegiem w morze wpadająca,
Wolna więzów, wesoło o brzeg się rostrąca.
Zniżył doliny, rozpiął pól przestwór szeroki,
Las okrył zielonością, wzniósł w górę opoki.

Niebo w pięć stref rozdzielił. Dwie prawe dostały,
Zimno, dwie lewe ciepło, a piąta upały.
Na całą ziemię równy rozciągając podział,
Jedną część skwarem spalił, dwie śniegiem przyodział.
A drugim dwom, upału i zimna przemianą
Poprzeplatanym, strefę dał umiarkowaną.

Nad ziemię wzniósł powietrze, tym od ognia cięższe,
Im są od cząstek wody, cząstki ziemi tęższe;
Tu mają, jak rozkazał, pobyt swój wiadomy,
Obłoki, chmury, burze, błyskawice, gromy,
I wiatry, których siła nawałność sprowadza,
Nie cały świat wielkiego Budownika władza

Poddaje ich potędze, gdyby były wolne,
Świat cały ze swych zasad obalić są zdolne.
Dla tego im oddzielne wydzielono rządy,
Lekki Zefir zachodnie odziedziczył lądy,
Eur Arabją, i strony gdzie słońce powstaje.
Boreasz dzierży Scytją i północne kraje.
Lecz oddalone brzegi przéciw-ległej ziemi,
Trzyma Auster, i skrapia deszczami ciągłemi.
Na samej wysokości, w niezmiernym przestworze,
Rospłynnego Eteru wylało się morze.

Ledwie Bóg tak rozłączył burzące się bryły,
Gdy gwiazdy które długo w ciemnościach się kryły,
Zaczęły się roziskrzać na błyszczącém niebie.
Lecz Stwórca chcąc, by wszystko życie wzięło w siebie,
Chcąc mieszkańcem zaludnić tych światów przestrzenie,
Obrazy Bogów sieje na niebios sklepienie.
Skrzelistemi rybami wód przestwór zaplemia,
W ptastwo powietrze, w zwierze zaludnia się ziemia.

W końcu świętsze stworzenie, zdolne do myślenia,
Któremu inne miały hołd dawać stworzenia.
Powstał Człowiek; niewiemy czy to stwórcy dzieło
Wieczną i nieśmiertelną duszą go natchnęło.
Czyli to syn Japeta z gliny go ulepił,
I ogniem z nieba wziętym duszę w nim zaszczepił.

Słowem, na obraz Bogów wzrosło ludzkie plemię,
Wszystkie inne zwierzęta wzrok spuszczają w ziemię
Człowiek różni się od nich postacią i wzrokiem,
Może on gwiazd dosięgać i myślą i okiem.
Tak ziemia dawniej gruba i niekształtna bryła,
W krótce się i tworami i ludźmi okryła.

Naprzód nastał wiek złoty, nie przez bojaźń kary;
Z własnej woli w nim cnoty strzeżono i wiary;
Jeszcze rytych na miedzi groźb praw nieczytano,
Lud przed surowym sędzią nie zginał kolano:
I bez sędziów bezpiecznym był każdy niewinny,
Człowiek szczęśliwy w swoim, niestał o kraj inny.
Z grzbietu gór dla zwidzenia narodów ościennych,
Niezstępowały sosny aż do mórz bezdennych.
Jeszcze grodów wałami nikt nie ubespiecza,
Jeszcze nieznano trąby, szyszaka, i miecza,
A mięszkańcy bez wojska, bez krwawego znoju,
Używali słodyczy wiecznego pokoju.

Grunt wolny, i lemieszem nigdy nie raniony,
Sam przez siebie obdarzał obfitemi plony,
Ludzie w życzeniach swoich jeszcze w ów czas mierni
Zrywali z drzew owoce, głóg z kolących cierni,
Albo z krzaków jerzyny, lub poziomki z ziemi,
Albo się żołędziami żywili spadłemi.

Wiosna była bez końca, a cichą pogodę,
Ożywiał lekki wietrzyk chyląc kwiatki młode.

Bez uprawy urodzaj taki dają nieba,
Iż zginają się kłosy pod ciężarem chleba.
Płyną zdroje nektaru, płyną zdroje mleka,
I miód słodki z pod jodeł strumieniami ścieka.

Gdy Jowisz rozkazywał już ziemi i niebu,
Saturna do ciemnego wtrąciwszy Erebu,
Gorszy niżeli złoty, lepszy niż miedziany,
Nastał wkrótce wiek srebrny, z nim wielkie odmiany.
Krótką wiosną, i zimą, i upałem lata,
I nierówną jesienią Jowisz rok przeplata.
Odtąd zaczął dopiekać skwar słońca gorący,
I zawiesił się w niebie śnieg i lud marznący.
Zaczęto stawiać domy, kryto się w gęstwiny,
W jaskinie i w lepianki z chrustu albo z gliny,
Zaczęto krajać skiby, uprawiać zagony,
Jęknął wół pod ciężarem w jarzmo zaprzężony.

W następstwie wieków trzeci miedziany się liczy,
Dzikszy, płodniejszy w wojny, jednak nie zbrodniczy.
Dopiero wiek żelazny co po nim nastaje,
Wylewa na świat wszystkie występków rodzaje.
Wstyd, niewinność, i wiara i prawda uciekła,
Ich miejsce wzięła chytrośc, zdrada, zemsta wściekła,
Razem z skarbów i zysków pragnieniem łakomym,
Rozciąga majtek żagle wiatrom nieznajomym,

I te co długo stały na najwyższej górze,
Płynoc łodzie po morzach, wyzywajo burze.
Wprzód wspólno jak powietrze, jak słoneczno jasność,
Człowiek ziemię pomierzył, i przemienił w własność.
Nietylko różne zboża, żywność z niej ciogniono,
Więcej chciano, zaczęto pruć jej własne łono.
Tam znalazła dłoń chciwa owe drogie bryły,
Nieszczęść sprężyny, które bogi nam ukryły.
Od złota podżegana, a żelazem zbrojna,
Wkrótce na świat w śród mordów wyszła sroga wojna.
Błyska hartownym mieczem, krwio zlana jej ręka,
Już teraz gości swoich gospodarz się lęka,
Drży teść przed własnym zięciem, brat bratą nie lubi,
Żona męża swojego, a moż żonę gubi.
Macocha swym pasierbom jad gotuje skrycie,
Nawet syn chciałby skrócić ojca swego życie,
Ginie cnota, krwio zlane widzoc ludzkie plemię,
Po Boginiach Astrea opuściła ziemię.

I żeby nawet niebo pokoju niemiało,
Olbrzymy na nie wpadli z potęgo zuchwało,
I ze skał do gwiazd samych wznieśli górne domy.
Ale ojciec wszechmocny cisnoł na nich gromy,
A przywaliwszy wzniosło Ossę Pelijonem,
Skarcił dumę olbrzymów przedwczesnym ich zgonem

Tak utraciwszy dzieci wydane z jej łona,
Ziemia jeszcze kurzącą ich krwią zrumieniona,
Bojąc się, by mieszkańców z niemi nie pozbyła,
Krew po wierzchu ciekącą w ludzi przemieniła;
Lecz i ten ród bezbożny, przez zbrodnie dowodził,
Że we wszystkim był godny krwi z któréj się zrodził.

Jowisz widzi z Olimpu występne ich sprawy,
A pomnąc Likaonie na srogie potrawy,
Któreś śmiał mu zastawić na bankiet gościnny,
Godnym zajął się gniewem na cały ród winny.
Wszystkich Bogów na radę przyzywa do siebie.

Widać wspaniałą drogę, przy pogodném niebie
Która się od białości mleczną drogą zowie,
Tędy do Gromowładzcy zwykli iść Bogowie.
Z prawej i lewej strony koło jego progów,
Okazują się domy pierwszych nieba bogów,
Gmin Bożków mięszka niżej, a w samym lazurze,
Włada Najpotężniejszy na najwyższej górze,
Jeśli można śmiałego użyć wyrażenia,
Tamto jest pałac nieba, pośród chmur sklepienia.

Bogowie w marmurowej sali się gromadzą,
Wyższy od nich i tronem i berłem i władzą,
Wszechmocny marszczy czoło; na to poruszenie,
Ziemię, morza i gwiazdy silne zdięło drrenie.

Sprawiedliwego gniewu przejęty zapałem,
„Nie tak (rzekł) o tron świata w ówczas się lękałem"

„Kiedy dumne Olbrzymy siebie chciały wsławić,
I na zwaliskach świata, tron sobie postawić.
Chociaż tak możnych wrogów karcić miałem godnie,
Jeden rod tylkom gubił, jedną niszczył zbrodnię.
Lecz teraz dokąd państwo Neptuna dosięga,
Na Styx przysięgam! (wiecie jak straszna przysięga)
Zgubię cały ród ludzki, i mieczem zagłady,
Wytępię tych co w zbrodni postępują ślady.
Niechcąc zarazić ciała, trzeba wyciąć rany.

Są na ziemi Pół-Bożki i górne Sylwany,
Fauny, Satyry, Nimfy, rząd bożków domowych,
My ich nieprzypuszczamy do biesiad stołowych,
Przynajmniej niech ich ludzie szanują na ziemi:
Ale oni czyż mogą tam być bespiecznemi,
Gdy mnie chciał zgubić człowiek sławny występkami,
Mnie, co rządzę piorunem i światem i wami?"

Drżą Bogi i pytają o imie zbrodniarza.
Tak gdy bezbożne ręce w Rzymskiego Cesarza
Drogiej krwi, świętokradzki oręż zbroczyć chciały,
Zadrżała i stolica i zadrżał świat cały.
A lud twój ci, Auguście dowiódł przywiązanie,
Jak wtedy Jowiszowi dowiedli niebianie.

Król Królów groźnym głosem nakazał milczenie.
Umilkły wszystkie bogi na jego skinienie,
I na chwilę chęć głośna zemsty się ucisza.
A w tym wyszły tę słowa od tronu Jowisza:

„Zbrodniarz skarany, próżno nie dręczcie się trwogą,
Opowiem i występek i zemstę mą srogą,
Gdy się zbrodnie śmiertelnych aż do mnie doniosły,
Niewierząc wieści, Olimp porzucam wyniosły,
I Bóg, w ludzkiej postaci zwiedzam ich krainy,
Nazbyt byłoby długo wszystkie zliczać winy,
Wszędzie, okropna prawda smutną wieść przechodzi.
Już Menal co drapieżnych zwierząt mnóstwo rodzi,
Już Licej przeminąłem i Cylleńskie jodły,
Nad zmierzchem do Arkadji kroki mnie pryzwiodły
I do niegościnnego mieszkania tyrana,
Obwieszczam przyjście Boga, lud padł na kolana,
Łatwowierność poddanych Likaon wyśmiéwa:
„Wkrótce się nam odkryje prawda niewątpliwa,
„Poznam (rzekł) czy was wiara nie łudzi pobożna,
„Czyli go za człowieka czy Boga mieć można."
Chciał mnie zabić, ten zamiar miał w nocy dokonać;
Tym sposobem o prawdzie lubił się przekonać.
Wprzód jeszcze z zakładników jakich mu kraina,
Molossów przystawiła, jednego zarzyna;
Część ciała parzy w wodzie, część piecze na rażnie,
I na taką mnie ucztę zaprasza bezbożnie,
Nie mogę wstrzymać zemsty, i w gniewu zapale,
Ciskam piorun, i zamek świętokradzcy palę,
Przerażony, daleko od domu ucieka.
Lecz tylko wycie daje, a nie głos człowieka,

Pieni się od wściekłości, a już łupiestw świadom,
Chciwy krwi, drże bydlęta i zagraża stadom.
W sierść szaty, w nogi ręce, sam w wilka się zmienia,
W nowej postaci, dawne zostają pragnienia.
Siwe miał dawniej włosy, sierć została siwa,
Tenże sam wzrok okropny, taż żądza krwi chciwa.

*

ZAMEK NA CZORSZTYNIE

czyli:

Kaźmierz i Bronisława.

(Powieść.)

Tam gdzie góra Świętego Krzyża, (*) najeżona posępnemi bukami i jodły, wznosi ku niebu poważne czoło, i zdaje się nad całą panować okolicą, a wspar-

(*) W opisie *Starożytnéj Polski*, autor tak o tem miejscu namienia; „Święty Krzyż kościół i klasztór Benedyktynów na szczycie góry: *Łysa* góra zwanej, 2,000. sążni, nad powierzchnią morza wzniesi'

ta na jej szczycie Świątynia, dawnością swoją pogańskich wieków sięgająca, dodaje uroczystéj wspaniałości miejscu; widzieć się daje starożytny zamek, który niegdyś był siedliskiem, możnej familji Odrowążów.

Potomek jej Kaźmiérz Odrowąż, mieszkał w dziedzinie przodków z matką swoją Heleną, która go kochała z czuciem jakie duszę Polki oznacza. Po stracie ojca, co na polu sławy poniósł śmierć chwalebną, młody Kaźmierz, lubo czuł szlachetną żądzę sławy, jednakże znając jak mocne były jego obowiązki dla matki, cały się dla niej poświęcił i uprzyjemniał jej chwile wolne od zatrudnień domowych. Najmilszą jego rozrywką było polowanie. Z jakimże zapałem przebiegał lasy za jeleniem lub dzikiem z jakim pośpiechem wracał do domu aby pokazać ubitego przez siebie zwierza i rzucić się w matki objęcia. Podobnie lubił się zajmować rysunkiem, muzyką i czytaniem.

Zbliżał się wiek, w którym zwykle młodzian czuje w sercu potrzebę kochania. Od niejakiego czasu

---

nej, w pośród skał i lasów, przez Bolesława Chrobrego około roku 1008. dla Benedktynów fundowany; Tu jak mówi *Naruszewicz* w Historji T. II. na k. 157. Horda *Naharwalów* miała bóżnicę Kastora i Poluxa, a następcy ich Słowianie, tychże Bożków Lelum Polelum zwanych czcili.

przykrzeć sobie zaczął Kaźmierz, w jednostajném życiu jakie prowadzi. Niemiały już dla niego wdzięku zabawy, w których dotąd roskosz znajdował. Często zwykł był przechodzić się po zwierzyńcu zamkowi przyległym a samotném zajęty dumaniem, siadał na urwisku skały i nieraz przygrywając, malował swoją tęsknotę. Czasem spoglądał na rozległe niwy które ginęły w nieprzejrzanym horyzoncie, wzdychał wtedy mimowolnie, i czuł w sobie gwałtowną żądzę zwiedzenia obcych krajów. „O ileż to piękności muszą mieć inne kraje (zwykł był mawiać) kiedy ta pustynia tyle w sobie wdzięków mieści, i tak moją duszę unosi. . Czemuż mi niewolno dopełnić życzeń serca mojego."

Niemogła ujść przezornemu oku matki, zmiana jaką w humorze syna swego postrzegła. Przypisała to nudom i samotności. „Synu! (rzekła) kończysz lat dwadzieścia i jeden, w twoim wieku, nietrzeba przestać na nabytych wiadomościach; wypada do nich dołączyć znajomość świata i ludzi. Umyśliłam wysłać cię za granicę; wiem ile mię rozdział z tobą kosztować będzie; ale nic szczęściu memu niewyrówna,gdy za twém powrotem znajdę w tobie syna godnego imienia i krwi z której pochodzisz."

Kaźmierz rzucił się jéj do nóg, ucałował rękę, mimowolnie skropił ją łzami, i przyrzekł że za rok

powróci, aby odtąd więcej się z nią nierozłączał. Uczyniono przygotowanie do wyjazdu, rozstanie syna z matką było najboleśniejsze.

Młody Kaźmierz obrócił drogę na Kraków. Nie bez wzruszenia wiechał do tej dawnej stolicy, która mu tyle stawiała pamiątek sławy narodowej. Czas swój poświęcił zwiedzeniu miasta i okolic, zacząwszy od *Mogiły Wandy*, aż do wyniosłego *Tyńca*; wszystkie obiegł osobliwości i zwiedził pomniki rdzą wieków okryte. Z tamtąd udał się do Szląska; wszędzie go dziwił porządek we wsiach i miasteczkach, gospodarstwo w kwitnącym stanie, a nadewszystko piękność położeń, jakie się codzień oczom jego stawiały. Uprzyjemniał mu podróż talent rysunku, który w wysokim stopniu posiadał. Zwiedziwszy Szląsk Czechy, Austrją, Tyrol i Węgry, zatrzymał się na niejaki czas, w Bardjowie na pograniczu Polski, gdzie corocznie do wód mineralnych liczne bywają zjazdy cudzoziemców. Niedoświadczony Kaźmierz, zabrawszy znajomość z kilku osobami, których rzemiosłem jeździć za granicę dla zysku, dał się wciągnąć do gry. Z początku sprzyjało mu szczęście, później przegrywa ciągle, nakoniec chcąc odegrać co stracił, stawia ostatnie dwieście dukatów, i brylanty jakie miał przy sobie; i te przegrał. Na ten cios niespodziewany, to czerwieni się, to blednieje, głos tłumi się w jego piersiach, zrywa się nagle, wybiega z Sa-

li,

li, i wraca do domu spocząć na chwilę, ale ściga go żal pomięszanie, i zgryzota. Sjada do stolika, pisze list do zaufałego sługi Wojciecha, którego jak przyjaciela uważał; uwiadamia go o tem co zaszło i prosi aby o niczem matce nie donosił; bierze torbę myśliwską, pas podróżny z pistoletami, resztę pieniędzy, wychodzi z Bardjowa i zapuszcza się w przyległe góry. „Tak (zawołał z rospaczą) nie jestem godzien wzroku ludzi. O ja nieszczęśliwy! wieczny wstyd będzie moim udziałem. O matko moja! z jakimże czołem stanę przed tobą, jakże będę śmiał wyznać ci moje błędy. Nie, raczej zagrzebię się w pośród tych gór niedostępnych, a przepędziwszy rok w ukryciu, wrócę do matki błagać ją o przebaczenie, i żalem odzyskać jej przywiązanie."

Takiemi myślami zajęty, trzymał się Kaźmierz przypadkowej drogi. Im bardziej zagłębiał się w ciasny wąwóz, prowadzący przez skały, tém umysł jego zdawał się być spokojniejszym. Nagle usłyszał kilka wystrzałów i krzyk ludzi; domyślił się iż zbójcy podróżnego napadli. Uczucie ludzkości, jakie w wyższym stopniu posiada nieszczęśliwy, każe mu spieszyć na ratunek. Leci w miejsce skąd coraz głośniej słychać okrzyki. Widzi kilku ludzi odważnie broniących się przy pojeździe, przeciw sześciu zbrojnym goralom. Między napadnionemi ujrzał poważnego starca, po którego ubiorze i szlachetnej posta-

wie poznał, iż to był właściciel pojazdu. Rzuca się Kaźmierz między walczących, ubija z pistoletu jednego, wyrywa upadającemu pałkę i nią gromi napastników. Zbójcy widząc śmierć towarzysza i męztwo Kaźmierza zaczęli się cofać. W tym w oddaleniu dał się słyszeć głos trąbki myśliwskiej. Gorale podwajają usiłowań, a za każdym natarciem wołają „Bijmy ich żwawo, bo nasz Bolisenga (*.) idzie.” Nim się wódz zbójców ukazał, już Kaźmierz powaliłbył na ziemię, dwóch co najwięcej starcowi dokuczali.

W czasie kiedy z ludźmi starca uganiał się za Góralami, słyszy strzał i widzi starca rannego w nogę, upadającego od razu Bolisengi. Herszt ten był wysokiego wzrostu; nosił burkę, która dodawała srogości męzkim jego rysom. Zawołał na swoich, i podwoił w nich zapał. Widząc odwagę Kazmierza, zwraca na niego całą natarczywość swoją. Już potężna maczuga wznosi się nad głową młodziana, gdy ten zręcznie jej unika, i dobywszy pistoletu, który chował na ostatni przypadek, zmierza zbójcę, i kładzie go trupem przy nogach swoich.

Widząc śmieć wodza pierzchają Górale. Kaźmierz spieszy na pomoc starca; czuje że jeszcze oddycha, zdziera z niego suknie, i odkrywa ranę któ-

(*.) Bolisenga sławny Herszt Zbójców w Karpatach.

rą dostał w prawą nogę. Opatruje ją, i przywoływa rozpierzchłych po lesie służących. Osłabiony przez znaczne ujście krwi, Pan ich leżał bez zmysłów. Powoli zaczął przychodzić do siebie. Odzyskawszy przytomność, najczulszemi słowy i wejrzeniem, dziękuje swemu wybawcy. Kaźmierz widząc, iż starzec niemógłby w pojeździe dalszej podróży odprawiać każe na prędce zrobić nosze z gałęzi. Sam z jednym służącym niesie starca, a drugiemu każe powoli jechać za sobą.

W ciągu dwugodzinnej podróży dowiaduje się Kaźmierz, iż starzec któremu on życie ocalił, jest Hrabią dziedzicem zamku Czorsztyna, i że się nazywa Junosza.

Droga była przykra, niesiono Hrabiego powoli. Nakoniec spostrzegł Kaźmierz zdala na wzgórku szałas, a obok niego pasząca się trzodę na polanie (*,*) rozkazuje służącym aby się zatrzymali z powozem; a sam chcąc się przekonać, czyli to schronienie będzie bespiecznem dla Hrabiego, zostawia go staraniom służących, podwaja kroki, i zbliża się do szałasu. Było to właśnie południe. Zatrzymuje się i słyszy następujące wyrazy.

(*,*) Tak zowią Górale łąkę lub pastwisko znajdujące się na pochyłości góry. Tam hurtują owce zacząwszy od Maja aż do połowy Września.

„Kochana Kasiu! zaśpiewaj mi jakę piosneczkę. Kiedy miły głos twój słyszę, przypomina mi się zaraz ta chwila szczęśliwa, kiedyśmy pierwszy raz poznali się z sobę."

Z ochotę spełnię twoje życzenie Tomaszu, ale ty musisz mi wprzód zaśpiewać tę węgierskę piosneczkę, którę mi tyle razy śpiewałeś pokiś nie był moim mężem."

Niedał się długo prosić; Kaźmierz usłyszał piosnkę następujęcę. (*)

Majesz widne celo, włosy nákryw'one,
Kakby rawne pole, kwiaty obrośnione,

Twoje lipe oczy, kakby draniolice,
Prysięgałby Bohu, da su dwie gwiazdzice.

Majesz cudne lica, od barwi od mleka,
Oneli spodali moim ranom leka.

(*) Śpiewka ta znanę jest w Tatrach, pod nazwiskiem Węgierskiej, kładziemy tu dosłowny jej przekład.

Piękny włos okrywa, twoje czoło wzniosłe,
Jakby równe pole, kwiatami obrosłe.
Twoje lube oczy, jakoby tareczki,
Przysięgałbym Bogu, że to dwie gwiazdeczki.

Twoje lipe usta, kachda sprogowone,
Pare da se wrota, od neba otwiera.

Słyszęc że tu śpiewaję o miłości, niebał się już niczego Kaźmierz; i zawołał na śpiewajęcych. Wybiegła z mężem urodziwa Góralka, a dowiedziawszy się, iż raniony podróżny potrzebuje schronienia, ofiaruje chatkę swoję o kilka staj leżęcę." „Znajdziecie w niej Państwo wielkie ubóstwo, ale i serce czułe, a przytem ja sama potrafię uleczyć chorego, byleby niebył ciężko raniony, bo znam doskonale zioła.

Podziękowawszy Kaźmierz za ich uprzejmość, śpieszy z Tomaszem w miejsce gdzie zostawił Hrabiego, który przebudziwszy się pytał się służęcych o swego wybawcę. Na jego na widok rozweseliła się twarz Starca. Przyjęł z wdzięcznościę ofiarowanę pomoc, utrzymujęc że się czuje lepiéj, i że opatrzywszy swę ranę, za kilka dni będzie mógł w dalszę udać się podróż.

Przybywszy do chaty, zastali stół nakryty, i u-

Tak białe jak mleko sę jagody twoje,
Oneby zleczyły cięszkie rany moje.
Twoje lube usta, czarów siłę maję,
Od samego nieba wrota otwieraję.

przejmą Kasię zastawiającą go potrawami. „Pewnie się chce jeść Państwu, my biedni górale nie mamy im więcéj ofiarować prócz *rzentycy, ogrodki, swędliny*, i owsianego chleba, ale i to was posilić potrafi". Hrabia przyjął ofiarowane sobie potrawy i jadł smaczno. Tymczasem Tomasz opatrzył ranę, przyłożył znajome zioła które mu żona przyniosła. Dano osobną stancją Hrabiemu, w któréj stanął z Kaźmierzem.

W kilka dni przyszedł Hrabia do zdrowia. Przez troskliwość swoją i czułe starania, umiał sobie Kaźmierz ująć serce starca, który wybawcę swego wkrótce już tak pokochał, jakby własnego syna. Przywiązanie jakie w nim umiały wzbudzić, przymioty Kaźmierza stały mu się powodem do zapytania go, jakim przypadkiem znajdował się w tych górach. Mógł był Kaźmierz ukryć przyczynę co go przywiodła do błąkania się w tych miejscach, ale rozumiał, iż mógł się zwierzyć Hrabiemu zupełnie i zasięgnąć jego rady. Wyznał przed nim wszystko wyjąwszy imie swoje. Słuchał go z uwagą Junosza, na koniec oświadczył, iż błąd jego jest skutkiem niedoświadczenia: „Jeżeli jednak (dodał) niechcesz się pokazywać twojej matce, przynajmniej nie pozbawiaj mnie roskoszy, wywdzięczenia się wybawcy mojemu. Skoro tylko przyjdę do zdrowia, muszę wyjeżdzać na Węgry, gdzie mnie interesa familijne wzy-

wają, ale spodziewam się, iż najdalej za trzy miesiące będę je mógł zupełnie ukończyć; w tedy powrócę do Czorsztyna, spodziewam się iż tem czasem raczysz przyjąć mięszkanie w moiem zamku. Zostawię ci list po mojej żony, która zapewnie będzie kontenta, że odbierze o mnie wiadomość. To mówiąc usciskał czule młodzieńca, który wezwanie jego przyjął z wdzięcznością.

W krótce Junosza wybrał się w drogę, ze łzami żegnał Kaźmierza i zostawił mu następujący list do żony.

Kochana Urszulo!

„Dzięki Niebu i męztwu Kaźmierza, uszedłem niebespieczeństwa. Napadnięty od Bolisengi, byłbym pewnie padł ofiarą jego srogości, lecz dzielną pomocą jakiej doznałem od tego młodzieńca, banda zbójców poszła w rozsypkę, sam zaś Herszt poległ z jego ręki. Jadę na Węgry, ułożywszy moje interesa, najdalej za trzy miesiące do was powrócę. Nie polecam wam mego obrońcy, gdyż rozumiem iż go potraficie tak przyjąć, jak na to zasługuje.

Junosza.

Wieczorem Kaźmierz oświadczył chęć udania się do Czorsztyna. Stary Okuta (to było imi

dziadka Górala który go tak uprzejmie przyjął) ofiarował się za przewodnika.

(Dalszy ciąg nastąpi)

SZARADY.

1.

Przez dwa me pierwsze wielu się gubi,
Trzecie znajduje się w księdze.
Gdy jestem wszystkim któż mnie nielubi?
Cóż się mej oprze potędze?

2.

Moje pierwsze nie w każdym znajdziesz alfabecie.
Me drugie za nazwisko służy próżnej głowie,
Wszystko zaś lubią kmiecie,
Czasem i Panowie.